

NA temat Fredry i „Zemsta” zużyto już wiele atramentu, istnieje co najmniej kilka interpretacji tej sztuki, a mówienie fredrowskiego wiersza jest specjalną umiejętnością, którą opanowali ponoć nieliczni. Role w komediach hrabiego Aleksandra, zwłaszcza w „Zemście” grywali nasi najwybitniejsi i do historii polskiego aktorstwa przechodziły zawieszania głosu, pauzy, intonacje, a każda następna obsada podchodziła do dzieła z nabożnym przejęciem i wstrzymanym oddechem, czy uda się dorównać Wielkiemu Poprzednikom.

Parafrazując Gombrowicza — Fredro klasykiem był, albowiem klasyk — i stąd dziś spór w teatrze polskim. Czy wolno grać klasyka współcześnie? — pytają ze świętym oburzeniem jedni, a dru-

Impresje po warszawskiej „Zemście”

Tesa Ujazdowska

dzy z równym ogniem odpowiadają: „Wszystko wolno, byle interesująco”.

Przyznam, że osobiście przychyliam się do zdania, iż najgorszym teatrem jest teatr nudny. Nie przeszkadzają mi więc eksperymenty sceniczne jeżeli są przemyślane i konsekwentne.

Gościnnie „Zemsta” z warszawskiego Ateneum, zaproszona przez Urszulę Święcicką, była obsadzona nazwiskami przez duże N, z których każde gwarantowało wysoki poziom aktorstwa i pod tym względem widownia w POSK-u nie miała powodów do rozczarowań. Jednym najbardziej podobał się

Wiktora, soczysty Cześnik Mariana Kociniaka, innym wykorzystujący wszystkie możliwości roli Papkina Wiktor Zborowski, jeszcze innym świetny Rejent Mariusza Dmochowskiego. W tym miejscu dygresja: reżyser przedstawienia, Gustaw Holoubek obsadził Cześnika i Rejenta jakby nieco na przekór warunkom zewnętrznym Kociniaka i Dmochowskiego i jak się okazało — obaj byli w swych rolach znakomici.

Wiktor Zborowski, obdarzony niesłychanie wyrazistą mimiką był świetnym i przezabawnym Papkinem, a przy tym ani razu nie przekroczył granic szarży, o co w tej roli bardzo łatwo.

Przewrotny Fredro uczynił najlepszą scenę w sztuce, jaką jest pisanie listu do Wacława oraz testamentu Papkina, jednocześnie popisem trzech postaci: Cześnika, Papkina i Dyndalskiego. Trzeba żelaznej dyscypliny aktorskiej by nie próbować wysunąć się w niej na plan pierwszy i odwrócić uwagę widowni od partnerów. Zwłaszcza Papkin wygrywając na stronie emocje związane z pisaniem ostatniej woli może skutecznie to czynić i takie rzeczy już się w teatrze zdarzały. Przedstawienie teatru Ateneum i pod tym względem stało na najwyższym poziomie.

Ogromnie podobał mi się Marian Opania w roli Dyndalskiego, tworząc z niej w pełni zarysowaną postać, pełną ogromnego ciepła. Jest rzeczą bardzo trudną dla aktora grającego mniejszą rolę w skromniejszym wymiarze czasu powiedzieć wszystko o odtwarzanej roli. O ileż łatwiej przy dużej ilości tekstu i wielu wejściach na scenę pokazać swe umiejętności i zainteresować sobą widownię. W małej roli nie ma czasu na błędy, każda kreska musi być precyzyjna, gdyż nie będzie okazji by ją powtarzając, poprawić.

Anna Seniuk w roli Podstoliny powtórzyła właściwie Telimenę, czego przy pewnych podobieństwach tych postaci trudno było uniknąć. Ale była to Podstolina bezbłędnie zagrana i z pewnością warta grzechu.

Osobny problem to fredrowscy amanci, o których Boy już kiedyś powiedział, że nie stanowią materiału aktorskiego: trzeba tylko dobrze wyglądać, bo nie więcej nie da się z tego wyrzesać. I rzeczywiście zarówno Klara jak i Wacław grywani „po Bożemu”, a więc zgodnie z epoką byli postaciami papierowymi, zwłaszcza na tle fredrowskiej galerii charakterów. Deklamowali o swoich uczuciach i na tym kropka. Od dłuższego już czasu trwają próby „ukrwienia” owych amantów — z powodzeniem dla sceny, ze szkodą dla zgodności z epoką.

Obdarzony świetnymi warunkami zewnętrznymi i wdziękiem Jacek Borkowski był już takim współczesnym amantem, ale szczególnie ostro zarysował się ów problem w roli Klary, granej przez Joannę Trzpiecińską. Współczesna fryzura (jak zresztą u prawie wszystkich pozostałych) przy kla-

sycznym kostiumie i absolutnie współczesnym geście, mimice, interpretacji, odcinały się od reszty ról, czyniąc z Klary postać z trochę innej sztuki, choć bardzo dobrą aktorką.

Natomiast absolutny mój opór budzi scenografia. Czy naprawdę jej autorem jest tak doskonały artysta jak Marcin Stajewski? Współczesny ohydny stół, przyrzucony malowanym materiałem miał udawać mebel fredrowski, choć kłudy w oczy proste, brązowe nogi tego grata, to samo z krzesłami i kanapą. Malowana plachta z tyłu sceny, za pociągnięciem sznurka odwijająca napisy z miejscem akcji, była po prostu powtórzeniem rozwiązania z „Pana Tadeusza” oglądanego tu niedawno, tylko, że tam tłumaczy-

ła się wielością miejsc działania, była staranna i podobnie jak malowany materiał na meblach — była czymś nowym. Powtórzona już tylko drażni i budzi podejrzenia o lekceważenie widowni — bo przecież ta sama „Zemsta” w teatrze Ateneum wystawiana jest w pełnych dekoracjach.

Wiadomo, że sprowadzenie ich podwyższyłoby znacznie koszty, ale skoro zapraszamy przedstawienie z Polski aby naszej publiczności pokazać krajowy teatr, to należy go pokazywać tak, jak naprawdę wygląda. W przeciwnym razie widownia w Londynie może odnieść wrażenie, iż w Warszawie gra się teraz wyłącznie przy płóciennych malowankach.

I jeszcze jedno: zamiecenie sceny nie jest kosztowne. Podłoga sceniczna w czasie premiery była po prostu zaśmiecona. Myślę, że jest to brak szacunku i dla widza i dla gości z Ateneum.